

BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET



LEON XIII Papiéz.

Jubileusz kapłański Leona XIII.

Od wielu już miesięcy cały świat katolicki oczekiwał w pierwszym dniu rozpoczynającego się roku 1888 wielkiej uroczystości religijnej pięćdziesięcioletniego jubileuszu kapłańskiego Papieża. W dniu 31 Grudnia 1837 roku, syn starej rodziny rzymskich hrabiów Pecci, Gioachimo Vincenzo Pecci, przyjął w Wiecznym Mieście z rąk kardynała Odescalchi święcenie kapłańskie, i teraz oto, po upływie pół wieku, starzec siedmiesięcio-siedmio-letni, ozdobiony potrójną koroną papieżką — Pontifex Maximus, któremu chóry lewitów śpiewać będą: — *Tu es Petrus!*... stanie d. 1 Stycznia 1888 roku pod sklepieniem bazyliki rzymskiej i u ołtarza, wznoszącego się na grobie Apostołów odprawi *Mszę Złotą* — jubileuszową mszę papieża.

Wiedziano o tem, ale nikt nie przeczuwał, jaką będzie ta uroczystość, wzruszająca dwieście kilkadziesiąt milionów katolików, które dadzą znać o sobie — o swojej gorącej wierze, o swojej synowskiej zawisłości od Rzymu, w sposób, nie przypuszczający już ani niepewności, ani zaprzeczenia. Ze Wschodu i Zachodu popłynęły dary, nieopisane w swoim bogactwie i rozmaitości; ścigali się pielgrzymi, żądający błogosławieństwa Ojca Świętego i odbierający je na kolanach, a zadziwieni tego świadkowie poczęli pytać; zali coś podobnego działo się kiedykolwiek, nawet w czasach najgorętszej wiary młodych narodów — tej wiary, która zdawała się już zniknąć z pomiędzy ludzi dzisiejszych, w wieku cywilizacji materialnej i szerzonych zasad naturalizmu?

A czy nie dlatego właśnie, że tak jest — że cywilizacja materialna zaczęła falami swemi zalewać świat i odejmować mu wszelki ideał zaziemski, pierś ludzkości podniosła się nagle wielką tęsknotą za tem, co utracić zaczęła i wydała ze siebie ten niespodziewany objaw religijnych uczuć — zadostę uczynienie religijnym tym potrzebom, bez których obejść się nie może? Oile się do tego przyłożył rozum i energia Leona XIII, wywierająca na tłumy swój wpływ przez instytucje Kościoła Katolickiego?... to kwestya inna. Ale grunt pod to istniał w sercach ludzkich — była tam złożona potrzeba tego wyrazu uczuć, których nikt sztucznie nie wytworzył na przestrzeni obejmującej świat cały. Nawet jedna chwila, jeden moment zapалу nie daje się nigdy wywieść z niczego: iskra, od której zajmują się ogniem serca, i zapalają wyobraźnię, musi nieodwołalnie znaleźć tam materiał podatny do tego, aby zapłonął: a cóż dopiero tu, gdzie pielgrzymi przybywali tysiącami z różnych stron świata, gdzie ofiary były kosztownym wydatkiem rzeczy drogocennych, których się pozbawiano — oddawano w imię uczucia, w imię wiary wyznawanej i to nie na żadnym placu otwartym, wśród licznych świadków, gdzie miłość własna, chęć popisu, dorównania innym często dającego do hojności popycha!

Niel tu tylko coś wzruszyło się ludziom w pierśiach — może na głos kapłana, który mówił o wielkim związku duchów, opartych o jedną wiarę i nadzieję niebiańską, temu nie przeczę, bo jest to powinnością stróżów Kościoła, aby wśród obowiązków ziemskich przypominali ludziom o obowiązkach Nieba. Odezwała się też potrzeba ujawnienia, że się należy do społeczności swojej, wzbudziło się pragnienie, aby liczyć się do tych wiernych, którzy trwają w rzeszy bratniej, żyją w gromadzie rodowej, i serca się wzruszały, formowały się szeregi: aż razem stało się wielkie widowisko, które zapisze na karcie dziejowej protest, aby wiek nasz był wiekiem bez Boga, wiekiem bez wiary i nadziei zaziemskich!

Opisy mszy jubileuszowej są i wielce wspaniałe i wielce wzruszające. Bazylika Św. Piotra jest świątynią już przez swoją starożytność, przez swoją pomnikowość, jedyną w świecie. Wzniesiona na gruzach i rzeszłości pogańskiej, stała się jakoby uwidomieniem tej skały Chrystusowej,

której wieki wzruszyć nie mają, a która już przeżyła ich tyle! Gorąca wiara Wieków Średnich napełnia ją atmosferą swoją; sztuka, która zrodziła — sztuka Michała Anioła i Rafaela, stoi tu na straży idei, która nie ma umrzeć. Teraz, cała wybita jedwabnemi szkarłatami ze złotem, przedstawiała z dziwną wspaniałością przybytek potęgi najwyższej wśród ludzkości. Już od godziny 7-mej rano tłumy zaczęły napływać i napełniać plac Św. Piotra i o tej godzinie były dzwony niemal czterystu kościołów Rzymu, sprawiając wrażenie, jakiemu równego nie pamiętają żyjący ludzie. Od 7-mej też zaczęto się już zjeżdżać do bazyliki. Podwoje jej były zamknięte, ale ci, którym wstęp był tu dany z rozkazu Papieża, zaopatrzeni w karty wejścia, nie wstępując już pod kolumnadę głównego portyku, dostawali się do wnętrza świątyni bocznymi drzwiami: mężczyźni w mundurach swego urzędu, lub w wielkim stroju, jak na przyjęciach papieżkich, kobiety również w czarnych długich sukniach, z koronkami czarnymi zarzutkami na głowie, czyli modą starowłoską, która jest przyjęta w ceremoniale watykańskim. Na placu wojsko włoskie w paradych mundurach trzymało straż: karabinierzy, to jest żandarmerii włoscy na koniach, powstrzymywali nieprzeliczone tłumy ludu; bersaglieri — strzelcy piesi, tworzyli szpaler od bazyliki do Watykanu.

W bazylice, która o godzinie 8-mej była już pełną, mieszczać przeszło trzydzieści tysięcy ludzi, straż trzymała gwardya szwajcarska w starożytnych pancerzach; camerieri, czyli szambelani papieżcy w malowniczym ubiorze z XVI wieku, pełnili służbę honorową.

O godzinie wpół do dziewiątej wzdłuż łańcucha bersaglierów rozpoczął się pochód duchowieństwa: dziesięć tysięcy księży wszystkich narodów i ze wszystkich części świata, tworzyło procesyja, niewidzianą chyba nigdy. Niżsi stopniem, młodszy wiekiem, — szli przodem, jakoby czyniąc drogę tym, którzy byli za nimi, i postępowali wedle godności swej kapłańskiej w fioletach, w purpurach: biskupi, arcybiskupi, kardynałowie. Kardynał Pecci, starszy brat Papieża, starzec już bardzo sędziwy, był wdzionym powoli pod ręce przez dwóch kapłanów.

O dziewiątej, wszyscy i wszystko było już na miejscu. Taka cisza panowała w ogromnej tej świątyni, w ogromnym tym tłumie, że nie zamoczył jej żaden szepot, prawie ruch żaden, aż o samej dziewiątej, gdy biła na zegarach Rzymu, rozwarły się podwoje wodzące przez boczną kaplicę z Watykanu. Przyboczna gwardya papieżka, gwardya szlachecka zaciągnęła wartę, Papież w bieli i z tyarą na głowie, sam też błądy i biały jak marmur, ukazał się tłumowi, na *sedia gestatoria*, ruchomym swym tronie, spoczywającym na silnych ramionach czterech równych sobie wzrostem sług watykańskich całych w czerwieni. Papież, wśród wielkich wachlarzy z białych piór strusich, przedstawił się oczom, jakgdyby podniesiony ponad głowy ludzkie przez skrzydła anielskie, z prawicą wyciągniętą przed siebie, aby błogosławiła, a z chóru odezwały się głosy: „*Tu es Petrus!*“ Rozlega się, rozplywając się w nieporównany sposób pod sklepieniem olbrzymiej świątyni ten nieśmiertelny hymn Palestyny; lecz gdy papież posuwa się w jej głąb, z tysiącnych pierśi wyrwa się okrzyk: „*Viva!... Viva il Papa!*“ a on podnosi ku Niebu oczy, i jakoby płynie dalej zwolna, niesiony wśród tłumy ponad jego głowami.

Papież w oznaczonym miejscu zstąpił z ruchomego swego tronu; odziano go w szaty mszalne, i ascetycznie chudy, szczupły, wysoki, starzec wstąpił po schodach do ołtarza. Do mszy służyli mu już z urzędu kanonicy Ś-go Piotra, a on czytał ją głośno, donośnie, z powagą, z namaszczaniem — pobożnie, wznosząc niejednokrotnie oczy ku górze, tam, gdzie umieszczone jest jako relikwia, krzesło starorzymskie, które było pierwszym tronem papieżkim, — tronem Ś-go Piotra. Leon XIII szukał tam może jego ducha, któremu się spowiadał, jak przez pół wieku kierował łodzią Kościoła.

Przed podniesieniem zdjął z głowy tyarę, zdjął nawet piuskę, i obnażył pozbawioną już włosów

czaszkę i wtedy zdawał się być rzeczywiście posagiem czy szkieletem, który ożył cudownie.

Gdy dawał benedykcją, cały tłum padł na kolana, korząc się szczerze, prawdziwie. Ale gdy msza się skończyła, gdy zabrzmiało: „*Ciebie Boże chwalimy!*...“ zaintonowane przez dziesięć tysięcy księży, śpiewane nietylko przez sławny chórowi śpiewaków z Kaplicy Sykstyńskiej, ale przez wszystkie kościelne chóry rzymskie — przez ten tłum cały, wśród którego każdy śpiewał go w języku swoim — było to coś, czego wyobrazić sobie trudno, a może nawet niepodobna: coś, czego nie było chyba na świecie, nie przynajmniej zapisanego w kronikach.

Po mszy Papież, w pontyfikalnych swych szatach, wstępuje na *sedia gestatoria*; siłacze, na których barkach ten jego tron spoczywa, podnoszą go znów ponad głowy zbitego tłumy ludzi, i oddala się od nich, ale gły ma mijać posąg Ś-go Piotra, odziany w kapę złotą i który ma na głowie taką samą, jak on koronę potrójną, Papież daje znak, zatrzymuje się, patrzy wstecz, może modli, modli gorąco choć cicho, bo wyciąga ramiona do posagu, lecz potem zaraz zwraca je do ludu, a ten znów pada na kolana i Leon XIII daje wielkie, świat cały obejmujące błogosławieństwo i odpust powszechny: „*Urbi et orbi*“ — wszystkim i wszędzie, a wtedy rozlega się jęk, płacz, szlochanie; pielgrzymi, którzy chcieliby je unieść w swoje ziemie dalekie płaczą, leją łzy na myśl, czy Bóg usłyszy ich, i tego swego namiestnika na ziemi, czy im je da — wyleczy ludzkość z nędzy, boleści i chorób ducha, które trapią nieszczęśliwych żebraków zmiłowania się Bożego.

Zzewnątrz świątyni cały plac zalegały tłumy kłęczące; żołnierze w chwilach, gdy dzwonki dały znak podniesienia i gdy Papież głosił wielkie błogosławieństwo odpustowe, poklekali.

Leon XIII urodził się d. 2 Marca 1810 roku w prowincji rzymskiej Velletri, w ziemi niegdyś Wolsków, w krainie górzystej i dzikiej, której ludność używa złej sławy dziedzicznego trudnienia się rozbojami. Miasteczko Carpinetto, które jest jego miejscem rodzinnym, wyjątkowo otacza krajobraz weselszy i bardzo piękny, romantyczną i niezwykłą pięknosciami. Tam on przyszedł na świat w starym zamczku „*Palazzo Pecci*“, siódme dziecko, a czwarty syn hrabiego Ludovico Domenico Pecci i Anny Prospero-Buzi z rodu starej też szlachty okolicznej. Rodzina ojca należała do szlachty sieniejskiej i była jej jedną gałęzią przeniesioną z tamąd do państwa papieżkiego. Hr. Ludovico służył wojskowo Włochom ukształtowanym przez Napoleona I w królestwo, i był pod sztandarem tego królestwa pułkownikiem. Matka była kobietą niepospolitą, której wychowanie zostawiło ślad w gorącej pobożności syna, okazującego od dziecka charakter silny, rozum i rozsądek rzadki przy wielkiem zamiłowaniu do nauki. Skończywszy pierwsze nauki szkolne w Viterbo, Gioachimo Vincenzo studyował następnie w Rzymie w kolegium nauki humanitarne, retorykę poezją, zagłębiając się namiętnie w pięknościach starożytnych łacińskich i włoskich klasyków. Byłoto w 1825 r.; 1830 wszedł do Gregorjańskiego Uniwersytetu na wydział teologiczny, w 1832 roku otrzymał stopień doktora teologii i filozofii, z tak szczególnem odznaczeniem, że mu powierzono odczyty dodatkowe w *Collegium Germanicum*, gdy sam jeszcze uczęszczał do szkoły *Sapienza*, gdzie słuchał prawa i gdzie przyznano mu stopień doktora obojgu praw: świeckiego i kanonicznego.

Zaraz po skończeniu tych wyższych nauk, przywdział suknię duchowną; w Styczniu 1837 r. odznaczający się wyższymi zdolnościami młodzieniec został zaliczony między domowych prałatów papieża Grzegorza XVI-go i zaraz potem, w Marcu, otrzymał urząd referendarza przy sądzie duchownym *Segnatura*, a wkrótce i miejsce w kongregacji *di Buone governo*.

Plaga cholery, dziesiątkującej ludność włoską spadała w lecie tego roku na Rzym, i teraz to okazały się w nim inne jeszcze strony wyższego ducha: wielka odwaga i nie lękanie się śmierci, wielka miłość bliźniego i poświęcenie. Papież, dziękując młodzieńcowi za dobre uczynki, przez

które rozslawił się w mieście, uściskał go, nazywając synem.

Wyświęcony na kapłana przez wikaryusza apostolskiego, kard. Carlo Odescalchi, zaraz w następnym r. 1838, został delegatem papieżkim, w prowincji Beneventu. Mały to jest kraj, mający rozległości dwie mile kwadratowe, górzysty, dziki, zamieszkały też przez ludność z pokolenia w pokolenie pogańską jeszcze w pojęciach, nawet w wielu obyczajach, które się w tym zakątku górskim ze starej przeszłości utrzymały jeszcze w owe czasy, i którym namiestnik papieżki wydał surową, nieubłaganą walkę, nie zważając na nienawiść i zemstę, którą wokoło wywoływał, i która nieraz dziko i namiętnie znać o sobie dawała. Cywilizował i niósł Naukę Chrystusową w zbójcekie zasieki wąwozów, pilnował bezpieczeństwa podróży, karał winnych z energią nieznużoną, i trzeba dodać: z bohaterską pogardą śmierci. I zwyciężył: starsze pokolenie ugiął przed sobą, w pierś młodszego usiłował zasiewać przez uczucie religijne ziarno lepszych, szlacheńszych dążeń: aż po trzech latach tej trudnej i twardej pracy apostolskiej, papież odwołał go na inne stanowisko — dał mu w zarząd prowincją Perugii, rozległą na 51 mil kwadratowych, który to urząd Pecci objął w 1841 roku.

Tu unosily się w powietrzu wielkie wspomnienia sztuki i zgasłej sławy Włoch, ale i tu był wróg, z którym kazano mu walczyć — karbonaryzm. Choć miał on w sobie świętą miłość włoskiej ojczyzny i wolnej myśli, antykościelnym przeciwieństwem był, odrywającym ludzi od społeczności chrześcijańskiej a kapłan, któremu jego władza kazała go zwalczać, ulegał jak żołnierz obowiązku koniecznego posłuszeństwa; ale tu już w sposób inny, z kapłańskim charakterem najściślej związany — rozbudzał w ludzi silną religijność i wpływem tym, przeważał wpływ inny, gdy Grzegorz XVI zapragnął go przenieść na stanowisko politycznie wyższe. Dał mu godność arcybiskupa Damietty i posłał jako nuncjusza do Belgii, gdzie trzeba było dać podporę katolikom, których uciemiężał żywioł liberalny mający króla za sobą. Królowa, katoliczka, cierpiała, ale nic nie mogła, aż nuncjusz przyszedł jej z pomocą, tak przeciwieństwem taktowną, że nie uraził króla i otrzymał od niego wiele, dlatego może, że nie szedł przebojem.

W 1845 r. papież odwołał go z Bruxelli, aby uczynić biskupem Perugii. Zanim przeciwieństwem zdążył przybyć z powrotem do Rzymu, Grzegorz XVI ty umarł i Pius IX ty zasiadł na Stolicy Piotrowej. Potwierdził on wolę poprzednika swego: biskup Pecci wyjechał zaraz do diecezji swojej, gdzie Pius IX pozostawił go przez lat 32, oddanego już wyłącznie sprawom swego duchownego powołania, walczącego przytem piórem i słowem przeciw bezwyznaniowości, przeciw rzeczywistemu pogaństwu, które ogarniało wtedy wielu ludzi wysoko postawionych i wysoko zasłużonych włoskiej ojczyźnie; ale nieszczęściem narodów w takim położeniu, jak wtedy były Włochy, jest to, że w pierś, które zatruwa jad boleści, legną się węże. Namiętności szarpia i popychają dalej, niż iść zamierzono, i tu tak było. Biskup Perugii, mianowany przez Piusa IX kardynałem w 1875 r., pracował głównie wśród tej walki duchów nad kształceniem dla Włoch dobrych, wyżej oświeconych księży i w tym celu założył w Perugii akademię S-go Tomasza z Aquino, sam zaś szukał wypoczynku i osłody życia w naukach i poezji. Pisał wiersze, których nawet ogłosił drukiem tomów parę, tłómaczył na nowożytny język włoski ulubionych swych poetów, Wergiliusza i Horacego, gdy śmierć Piusa IX wywołała go z tego cichego i spokojnego istnienia, o którym wspomina niekiedy, jako o najszcześniejszych latach swego życia.

Pius IX mianował go nakrótko przed zgonem kardynałem kamerlengiem, i jako taki objął on zastępczo rządy Stolicy Apostolskiej, gdy na pierwszym zaraz konsystorzu wyborczym powołanym został do godności pontyfikatu znaczną liczbą 41 głosów i, przyjąwszy wedle obyczaju Kościoła nowe, duchowne imię — Leona XIII-go, zasiadł na Stolicy Apostolskiej, a wtedy to ta

cicha, blada postać starca zaczęła rosnać przed oczyma ludzi w siłę i potęgę, przypominającą Leona X-go.

Wielki rozum, wielki takt, wielka zdolność obserwacji przy niezłomnej woli w dążeniu do zamierzonego celu, przy niezmiernej energii i pracowitości, o której świadczą liczne listy pasterskie, allokucyje, encykliki, między którymi mieści się wysokiego znaczenia z 1885 r. poczynająca się od słów: *Immortale Dei* — to są składowe części owej potęgi, występującej tak na jaw wśród uroczystości jubileuszowej, że umysły zdumiewają się nad nią. Klucze S-go Piotra w rękę Leona XIII umiały tak odemknąć przed oczyma ludów bramy Nieba, iż ujrzały tam Boga na wysokości i obróciły ku Niemu spojrzenie, a podnosząc je ku górze, uczuły, że nietylko ziemia istnieje dla człowieka, na której nie żyje on chlebem samym.

SONETY H. HEINEGO.

DO MATKI

przekład

Ad. Mieleszki-Maliszkie wicza.

Zwykłem zawsze nosić swą głowę wysoko;
Duch mój górnje patrząc, nie zna barw różnicy.
Niech mi sam król nawet spojrzę oko w oko:
Nie uchylę przed nim strwożonej zrenicy.

Ale tobie, matko, głab' mej duszy zwierzę.
Ma niesforna buta, duma niemal dzika,
Wobec ciebie, — cichej, potulnej tak szczerze,
Nieraz nie śmie wejrzeć — korna i lękliwa.

Jest-że to twój umysł, co mię pokonywa,
Twój wspaniały umysł, co wszystko przenika!
Podnosi upadłe, karci prawd oszczerce?

Czy też jest to pamięć, że ma żądza płocha
Tyle razy bólem raniła twe serce,
Twe anielskie serce, które mię tak kocha?

ADOLF PAWIŃSKI.

(Dokończenie).

W r. 1875 podjął Pawiński wspólnie z p. Aleksandrem Jabłonowskim wydawnictwo *Źródeł dziejowych*, ciągnące się do dziś dnia w Warszawie i doprowadzone do dwudziestu jeden tomów, z których piętnaście znajduje się już w handlu księgarskim. Jest to szacowny zbiór świadectw odnoszących się do historii politycznej i dyplomatycznej, do stanu statystycznego starożytnej Polski, przeważnie w XVI w. Od XI tomu poczynając, strona statystyczna dziejów wyłącznie już w tych *Źródłach* panuje. Cztery tomy: I, V, VI i X, są owocem poszukiwań i pracy wydawniczej p. Jabłonowskiego; wydawnictwem pozostałych kierował Pawiński: on je naukowo opracował, opatrzył objaśnieniami i większymi zarysami historycznymi, ukazującami dany przedmiot w świetle dzisiejszej wiedzy; według jego planu wydawnictwo dążyło do zaokrąglenia swej przedmiotowej treści. Kiedy p. Jabłonowski rozpoczynał użyteczny zbiór *Listami i mowami Krzysztofa Grzymułtowskiego*, Pawiński w tym samym roku (1876) wydawał w tomie II *Dzieje zjednoczenia Ormian polskich z kościołem rzymskim w XVII w.* (str. 202, 8-o), a w trzy lata

później dodał do nich *Sprawy Prus Książęcych za Zygmunta Augusta 1566 — 8 etc.*, z obszernym wstępem historycznym, stanowiącym samoistne opowiadanie dziejowe na podstawie sprawozdań kommissarzy królewskich (str. CLX, 33^o, VII i 1 kul 8-o). W wydawnictwie *Źródła i rzecz ta stanowi tom VII* Chwila przejścia władzy od zniedołęźniałego Alberta na jego następcę ukazuje się tu his orykowi z nowego punktu widzenia. Dla uczonych niemieckich wyszedł text łaciński; tego nie znamy.

Wysokiej wartości dla historii politycznej są zebrane przez Pawińskiego dowody do panowania Stefana Batorego, dla którego historyk nasz żywi głębokie przywiązanie rozumu uznającego siłę i wolę rzetelną, trud przedwcześnie złamany, zasługę straconą dla przyszłości.

Świadectwa do panowania tego króla mieszczą się w tomach III, IV, VIII, IX i XI, wydanych pomiędzy r. 1877 a 1882. Mamy tu: *Stefan Batory pod Gdańskiem etc.* z obszernym zarysem historycznym (str. LXXII, 360 i 15 kulb, 8-o); *Początki panowania Stefana Batorego 1575—7*; *listy uniwersaly, i instrukcye*. Przy tym tomie (IV) znajduje się rozprawa oryginalna o Synodzie Piotrkowskim z r. 1577 (4 kulb, str. XXXVII, 292 i 1 karta.—8-o). Do tejsamej kategorii, ze względu na rodzaj i przedmiot należą zebrane w tom jedenasty: *Akta Metryki Koronnej co ważniejsze z czasów Stefana Batorego* (str. 5—318 i VI, 8 o), Zawartość tych trzech tomów uzupełnia cenne wydawnictwo współczesne Biblioteki Ordynacji Krasieńskich i dawniejsze Albertrande-go, Raczyńskiego, Niemcewicza i innych. — Nową zupełnie dziedzinę zdobył Pawiński dla dziejopisarstwa w dwóch pozostałych tomach odnoszących się chronologicznie do panowania tego, który nie chciał być malowanym królem. Tom VIII *Źródła* obejmuje oryginalną, bardzo obszerną, przedmiot swój prawie wyczerpującą, pracę: *Skarbowość w Polsce i jej dzieje za Stefana Batorego* (str. XV (spisy), IX (przedmowa) i 470—8-o). Księgę dowodów do tego umiejętnego, wielce nauczającego opracowania dołączył Pawiński jako tom IX p. t. *Księgi podskarbińskie z czasów Stefana Batorego 1576—1586* (str. III, XI (przedmowa) I—II (spis) 1 kulb erratów, 1—221 (część I), 1—303 (część II) i 305—314 wykazu imion i nazwisk). Sama tylko rzecz o skarbowości wystarczałaby Pawińskiemu do zapisania trwale nazwiska swego w rocznikach naszej wiedzy i literatury historycznej.

Wraz z tomem dwunastym *Źródła* wkracza do szacownego wydawnictwa statystyka, przynosząc te dane o przeszłości, o narodzie, społeczeństwie i państwie, które się dają ująć w liczby. Pomijając *Starożytną Polskę* i pojedynczych miejscowości i powiatów dotyczące wskazówki i sprawozdania kommissarzy rewizyjnych, nie mieliśmy od *Libri beneficiorum* Długosza i Łaskiego większych systematyczniejszych opisów stanu niejako gospodarczego dawnych pokoleń. W samych źródłach rozpoczynają tę opisowość statystyczną *Lustracje królewskie etc.* i *Rewizyje zamków etc.* (T. V i VI), wydane przez p. Jabłonowskiego. Wydawnictwo Pawińskiego, składające się już z dziesięciu tomów, będzie ze wszystkich najobszerniejszym i najbogatszym; przedstawia nam całą *Polskę XVI w. pod względem geograficzno-statystycznym*. Dotychczas mamy *Wielkopolskę* (1883) i *Małopolskę* (1886), każdą w dwóch tomach (XII i XIII, XIV i XV). Nie starczyło zasobów na przedstawienie stanu jedno-chwilowego, w każdym jednak razie, jakkolwiek z lat różnych, spisy wydane w *Źródłach*, wskutek mnogości faktów, zapewniają badaczom pożytek przywiązany zawsze do wielkich liczb i chociaż potrzebowałyby jeszcze dopelnien, pozwalają przeciwieństwem na wytworzenie obrazu, o jaki niepodobna nawet było pokusić się dawniej. Są w tym zbiorze świadectwa i z w. XV (r. 1491) a poza przeciwległym krańcem wieku XVI „Regestr poborowy województwa Lubelskiego z r. 1676.“ Pierwszy raz spotykamy się w cennym wydawnictwie z rozległością pojedynczych powiatów, ziem, województw. Była to dotychczas zupełna niewiadoma dziejopisarstwa. Historyk nasz doszedł do wynalezienia jej przy pomocy urzędowych wykazów miej-

scowości danego terytorium. Wykreślone na wielkiej szczegółowej mapie dzisiejszej, miejscowości te same przez się już wskazały granice, a zastosowanie odpowiedniego przyrządu pozwoliło oznaczyć obszerność danej jednostki terytorialnej, przy możliwości bardzo nieznacznych błędów. W tomach XII i XIV wydawca na podstawie ogłoszonych świadectw kreśli obszerne obrazy gospodarczego, prawno - ekonomicznego stanu własności ziemskiej. Dla Wielkopolski opracowanie to zajmuje stronic 170, dla Małopolski str. 201; przy takiej obszerności poglądy ogólne mogą już posiadać wartość prawdziwie nauczającą i rzetelnie wzbogacającą umiejętność historyczną. Niepodobna tu odsłaniać wielce zajmujących faktów a raczej fenomenów ogólnych; wskazanie samego przedmiotu wystarczyć musi. Cztery wydane tomy zajmują wraz ze spisami przeszło tysiąc osmset stronic druku in 8-o; dziesięciotomowa całość stanowić będzie prawdziwy ogrom (T. XII i 1 knlb, str. 170, 1 knlb i str. 334; T. XIII: str. 3. 8. XCVIII spisu miejscowości i 1 knlb; T. XIV: str. III, 201, 1 knlb; str. 431; T. XV: str. 431—589, I—C spisu miejscowości, 1 knlb i str. 59a dodatków).

Najważniejszą z prac dotychczas dokonanych, tą, do której sam autor, oile wiemy od ludzi zostających z nim w stosunkach naukowych, względnie największą przywiązuje wagę—są świeżo wydane, z datą już roku „1888“, *Dzieje Ziemi Kujawskiej, oraz akta historyczne do nich służące 1572—1795*, (tomów 5, in 4-to, Warszawa). Tom I stanowi oryginalne opracowanie instytucji samorządu ziemiankiego na podstawie świadectw zamkniętych w czterech następnych; odpowiednio też do treści swojej nosi ten tom samoistny tytuł: *Rządy sejmikowe w Polsce na tle stosunków województw kujawskich* (str. 1—II, I—XIII, I X, 431). Jak w *Źródłach* skarbowości XVI w., tak tu znowu *self-government* nasz, dzięki uczonemu dziejowznawcy pierwszy raz staje przed naszymi oczyma, już nie w pamiętnikach i ogólnikowych charakterystykach dziejopisarzy politycznych, zajmujących się górnymi sferami państwa, ale na własnym swym gruncie, z siłą bezpośredniej prawdy, z żywotnością dającą czuć bijące tętno życia. Do takiego intelektualnego wskrzeszenia przeszłości posłużyły historykowi *lauda sejmikowe*. Ważność ich od kilkudziesięciu lat uznawali wszyscy uczeni; w bardzo drobnym zakresie korzystał z nich jeszcze Bandtke, wydawali je w skromnych rozmiarach badacze archiwalni, zabiega o koło wydawania już systematycznego na większą skalę—niezupelnie szczęśliwie przecież—Akademia Umiejętności. Pawiński w r. 1883 zapowiedział w poszukiwaniach i badaniach swoich wejście na tę drogę i po kilku latach dał największy z dotychczasowych, najporządniejszy i najbardziej nauczający zbiór *laudów*, a wydając świadectwa przeszłości, jednocześnie skorzystał z nich dla wyrozumienia wcale dotychczas nierozumianej, bo i wcale prawie, z wiarogodnego, urzędownie stwierdzonego, sposobu funkcjonowania, nieznaney instytucji. Historyk każdy wie, jaką ma wartość całe to wydawnictwo i, chociaż mógłby w granicach niezbędnych zastrzeżeń poprzestać na samych wynikach usystematyzowanych w tomie pierwszym w umiejętno wyobrażenia, pojęcia i samodzielne poglądy wydawcy—wdzięcznym mu przecież będzie za ogłoszenie samych świadectw; nigdy bowiem słowo dzisiejsze choćby najjędrniejsze, dla umysłu przejętego duchem historyczności nie wystarczy: właściwie żywym dla historyka jest tylko słowo przeszłości. A tu takie słowo żywe płynie w wielkiej okwitości. *Lauda i instrukcje sejmikowe* wypełniają tom II—V *Dziejów Ziemi Kujawskiej*, która się składała z województw Brzesko-Kujawskiego i Inowrocławskiego, a sejmikowała w Radziejowie. Tom II obejmuje akta od chwili wyrobienia się samorządu z nastaniem elekcyi, t. j. od r. 1572 do 1673 (str. IV, 434, XXVI spisów i 1 knlb); T. III od r. 1674—1699 (str. 245, XVII spisów i 1); T. IV od r. 1700—1732 (str. 420, XXI spisów); T. V wreszcie od r. 1733—1792 (str. 413, XLVI spisów, od str. 385 dodatki z różnych czasów). Ostatnie *laudum* jest z d. 21 Marca 1792 r.

Upodobanie w studyach archeologicznych po ciągnęło Pawińskiego w r. 1880 na kongres archeologii i antropologii przedhistorycznej do Lizbony, do tej Luzytanii Strabona, w której najdłużej miało się przeciągać ludożerstwo. Na porządku dziennym stanęła sprawa niezmiernie ważna; spodziewano się od kongressu odpowiedzi stanowczej na pytanie: czy był już istotnie człowiek w formacyi trzeciorzędowej? Pawiński pojechał, w pracach kongressu uczestniczył, dał ich obraz; podróz daleką, wrażenia pierwsze krajów i ludzi, opisał w listach do czasopism warszawskim, (w osobnej książce *Portugalia*, listy z podróży; Warszawa, 1881, str. 306 i 3 nlb, 8-o minori).

Zajęcie się dziejopisarstwem Ostrorogiem pobudziło i Pawińskiego do badań nad tym niepospolitym myślicielem politycznym i pozwoliło mu przy zwykłej sumiennosci i nakładzie pracy i zabiegów naukowych oczyścić dane pole z chwastów uświęconych przez takie powagi, jak p. Bobrzyński i przedłużacz Roepella, Caro. Rozprawa Pawińskiego: *Jana Ostroroga żywot i pismo o naprawie Rzeczypospolitej; studyum z literatury politycznej XV wieku* (str. IV, 205 i karta podpisów; Warszawa 1883, 8-o; w *Bibl. Um. Prawnych*) jest najpełniejszym, największe zaufanie wzbudzającym zebraniem danych o życiu i działalności Wojewody Poznańskiego i osamem jego *Monumentum*. Przedewszystkiem zbił Pawiński przyjęty na oslep za Janockim przez p. Bobrzyńskiego (*Przew. n. i lit.* 1877) rok 1477 i, nie lekając się wywodów historyka niemieckiego, oznaczył koniec r. 1456, jako datę jedynie prawdopodobną powstania 67 artykułów ostrorogowych. Dalej pozbawił wszelkiego prawdopodobieństwa twierdzenie, jakoby Ostroróg uczestniczył w zaimprovizowanej przez Kazimierza Jagiel. radzie grudniowej (Listopad 1455 r.) i dowodnie przekonał, że mowa do papieża Pawła II,—mowa, nad której pięknoscią unosi się nawet Caro,—mylnie przypisana jest Ostrorogowi; powiedział ją bowiem towarzysz jego w poselstwie r. 1467 odbytem, Wincenty Kielbasa, Biskup Chełmiński. Przeciwno Wegnerowi wystąpił historyk nasz z zarzutem niekrytycznego entuzjazmu, a trzymając się ściśle prawdy, obalił hipotezę historyka niemieckiego, jakoby *monumentum* powstało pod wpływem Reiserowskiej *Reformatio Sigismundi imperatoris*: działał tu raczej wpływ Humanistów i husytyzmu. Rozprawa Pawińskiego jest, przy dzisiejszym stanie wiadomości źródłowych, ostatniem słowem wiedzy o Ostrorogu; wzbogaca ją całkowite brzmienie, tak *monumentu* wraz z przekładem polskim, jak i mowy rzeczywiście przez Ostroroga w obronie Traktatu Toruńskiego wypowiedzianej do papieża—obu ze zbiorów Biblioteki Załuskiej.

W roku następnym (1884), umieścił Pawiński w tejsamej *Bibliotece umiejętności prawnych* ważną rozprawę *O pojednaniu w zabójstwie* (Warszawa, 1884, str. 128, 8-o), mało znanej instytucji prawno-obyczajowej naszych przodków. Występuje w niej tak zwana *wroźda*, podobna do niemieckiej *Fehde*. Pokrewny stosunkiem i formami przedmiot napotkał historyk w innym znowu obyczaj, w prawo przyodzianym: w *odpowiedzi i odpowiedzialności*, które nawet w językoznawstwie naszym nie występują w rzetelnym swem znaczeniu. Umysłna praca o tej zajmującej instytucji wzbogaci wkrótce naukę i piśmiennictwo.

Obok poważnych naukowych zajęć, których owocem były, śmiało rzecz można, pomnikowe wydawnictwa, Pawiński zasiliał także pomniejszemi pracami i czasopisma miesięczne i tygodniowe. Oprócz wyżej wspomnianych wymienił tu potrzeba, nie obojętną dla historyka literatury wiadomość p. t. *Marcin Bielski przed sądem królewskim w Piotrkowie* (B. W. r. 1872). W latach 1869—1873 zajmował się poczynający wówczas historyk podróży i odkryciami geograficznymi i sprawozdania o nich w *Bibl. warszawskiej* zamieszczał. W roku 1878 paryżka *Revue historique* podała treściwy jego artykuł p. t. *La Pologne*. W r. 1880 w *Ateneum* czytaliśmy zajmującą rzecz o *wykopaliskach w Pergamie* (skarby króla Atalosa). Na lata 1880/1, przypadają listy z podróży na Półwysep Iberyjski, pobyt w Lizbonie w wia-

domym już celu, zwiedzanie archiwów w Madrycie, Sewilli, Alcali, Hadze. Prócz głównego opisu wydanego w książce, historyk nasz pomniejsze wyniki poszukiwań swoich podał do wiadomości ludzi oświeconych w *Kłosach* (1882 I) i w *Tygodniku Ilustrowanym* (1881 II). W pierwszym z tych czasopism znajduje się bardzo ciekawa, z zapalem przez bibliografów naszych powitana, wiadomość o *Stanisławie Pola'cu*, drukarzu sewilskim z końca XV w. Pawiński zbija domniemanie o trzech drukarzach Polakach i zostawia tylko jednego: „Stanisławo,“ którego Hiszpanie przekręcili na „Lançalao“ i „Estevano.“ W *Tygod. Ilustrowanym* znajduje się jedna z drobnotek historycznych, wcale dotychczas nieznaną: *Zmieważenie flagi polskiej na wodach Gangesu w r. 1730*. Wypadek ten wywołał korespondencyą dyplomatyczną, z której wyjątki dosłowne autor we wzmiance swojej podaje.

Na r. 1883 przypada ożywiona działalność Pawińskiego w *Tygodniku ilustrowanym*, który w drugiej połowie 1882 r. przeszedł był na jego współwłasność. Rok smutnej rocznicy skonu Batoro powołał pióro historyka do popularnych wspomnień z życia wielkiego króla w tygodnikach warszawskich. Poprzednio jeszcze *Kłosa* zamieściły opowiadanie Pawińskiego o *Batorym jako myśliwym*. Nowy *Kwartalnik historyczny* otworzył uczonemu nowe pole: krytyki specjalnej, przeznaczonej już dla ludzi pracujących w dziejopisarstwie.

Regestrując tu prace uczonego, nie możemy pominąć zasilenia wydawnictwa *Monumentów medii aevi* znaczną bardzo ilością dokumentów z XIV i XV wieku, ani też objaśnień historycznych do *Jezdy Kochanowskiego* w drugim tomie pomnikowego wydania jego dzieł.

Przed kilku laty pracował Pawiński dłuższy czas w bogatym archiwum królewskim w Dreźnie i zebrał bardzo wiele cennych wiadomości, odnoszących się, o ile wiemy, do końca panowania Augusta II, oraz elekcyi i początku Augusta III. Spodziewać się można większego pragmatycznego opracowania owej chwili dziejowej.

S. K.

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg.)

Zaraz prawie poza miasteczkiem trzeba było jadać do Starej Wsi skręcić z szosy na boczną drogę, która wiodła łanem pszenicy, wysoko już wyrosłej; to tu, to tam błyszczał wśród niej posawy maczek, białe rumianki kwitły po miedzach, pokorne żółte kwiatki czepiały się boków drogi, a choć rosa już obeschła, pozostało jeszcze coś jej świeżości w powietrzu, którem lekko było oddychać. Ta pierś zwłaszcza, dla której to było powietrze rodzinne, mogła je była wciągnąć w siebie, jak lekarstwo, jak zdrowie i Stanisław Starowiejski spuścił teraz okno karetki. Niebieskie jego oczy z pod długiej rzęsy ciemnej spojrzwały w ten krajobraz dobrze mu znany. Czem był piękny? nie byłby mógł odpowiedzieć, przecież patrzył, patrzył weń—wzrok biegł w przestrzeń otwartą, którą nieboskłon zdawał się zamykać. Kiedy był małym Stasiem, myślał, że do nieba jest bardzo blisko—tylko przejść to pole i las poza niem, aby się dostać do bramy... Może to było prawdą wtedy—może to było dotąd prawdą dla wielu ludzi, ale już nie dla niego. Dla niego było teraz do nieba daleko... daleko!

Wjechało w las i otwarty widok zamknął się dwoma ścianami zieleni. Las był sosnowy, bardzo stary, podszyty wszelkiego rodzaju gminem leśnym: brzezina, leszczyna, tarniowe krzaki,

a niżej jeszcze dzika malina, jeżyny, paprocie rosły, kwitły, buły się całą siłą bijących w górę soków wiosennych; ale Stanisław snadź mniej lubił ten widok, bo cofnął głowę w tył.

Wiedział, że już pod lasem minął kopiec graniczny, że był na gruncie Starej Wsi—u siebie...

Lasu był kawał znaczny, ale droga była dobra, porządnie utrzymana, wolna od gałęzi; jechało się nią równo, a ptaki jeszcze śpiewały w całej swej wiosennej swadzie. Kosy świstały jak na pobudkę, wilgi, sikory odzywały się z każdego krzaka, gdzieś w głębi kukulka kukała.

Kukulka kukała uparcie; zdawało się czasem, że gniewnie,—czasem, że żałośnie, i Stanisław, który trzymał głowę, opartą o tylne wysłanie karety, przypomniał sobie o niej gadkę wiejską:

Kukulka. to taka dusza jest zakłeta,
Co zgubiła szczęście—lecz gdzie?.. nie pamięta?
Więc lata po lesie, i woła, i kuka:
Nikt nie odpowiada—bo nikt jej nie szuka?

Czy nie było tak z nim? Zostawił gdzieś szczęście swoje za sobą, zgubił w drodze i tylko on już go nie szukał. Odebrał od ojca list zimny i surowy, aby przyjechał natychmiast, dla uregulowania interesów, które tego wymagają—z jego powodu. Jest już więcej, niż pełnoletni, kończy lat dwadzieścia siedm, a z tego, jak sobie poczyną, on, ojciec, przekonał się, że ich drogi życia nie mogą być jednakowe. Kazał mu widzieć się z mecenasem Henrykiem, dawnym swym przyjacielem i towarzyszem młodości, który miał mu wyłuszczyć, co ojciec rozumiał przez uregulowanie interesów. Miała to być wręczona mu wypłata posagu matki, z którego ojciec nie chciał wziąć nic, nawet należącej mu się części prawnej. Oddawał przytem synowi i to, coby mu przypadło po jego śmierci, jako sukcesya z tego przecież tylko majątku, jaki on niegdyś otrzymał po rodzicach swoich—ale na tem był koniec. Dorobek jego do niego należał i miał prawo nim rozrządzać. Jak zaś rozrządzi?... nie pisał synowi, ani ów jego pełnomocnik mecenas nie powiedział mu tego. Ojciec żądał od syna, aby, jeżeli na układ przystanie, skwitował go z odbioru pieniędzy, które przynosiły nawet prawnie wymagalną część spadku, jaki kiedyś byłby przypadł na niego po śmierci ojca. Mecenas mu to wykazał dowodnie, bo przedstawił mu wykaz hipoteczny Starej Wsi z przyległościami Borki i Klamy.

— Ojciec twój p. Stanisławie, mógłby być jakim kruczkim prawnym, sprzedaż symulacyjną, naprzykład, mnie, osiągnąć tensam skutek—tłumaczył mecenas—ale nie chciał. Całe życie uczciwy, uczciwie też i otwarcie chciał postąpić z tobą, abyś wiedział, jaki jest i może być w przyszłości twój majątek... Potrzebnem to jest człowiekowi do rozsądnego układu życia.

Stanisław, choć silnie rażony w serce, nie przez samą stratę majątkową, jaką był ten wymagany przez ojca układ, przystał na niego natychmiast. Ledwo mecenas rzecz mu wyłuszczył i nawet zanim dokończył, on rzekł spokojnie i dumnie:

— Dobrze...

Wyciągnął rękę do pióra, tkwiącego w kałamarzu, aby natychmiast podpisać ugodę, która była skwitowaniem go z reszty fortuny ojcowskiej: chciał to zrobić nawet bez spojżenia na papiery, wykazujące mu, że zasada prawna nie była tu naruszona. Zarzucano mu słabość charakteru i tak było rzeczywiście; dowodziła tego rzecz, która sprowadziła ostatecznie całą tę sprawę; znaczna przegrana kilkudziesięciu tysięcy złotych, o której wieść gruchnęła dwa tygodnie temu po Warszawie, skandalizując ją. Słabym był niewątpliwie, ale mimo tego tak dumnym, że to stawało się w nim natychmiast siłą, gdy upokorzenie jakieś dotykało go.

Teraz uczuł się nietylko upokorzonym: zjął go żal—ciężki, bolesny żal takiego odtrącenia przez ojca, przecież duma kazała mu przedewszystkiem szukać pióra i papieru. Chodziło tu o pieniądze, więc nie chciał, aby padł na niego choć cień podejrzenia, że się waha, ociąga, że może chciałby ojca przebłagać i wymódz zmianę postanowienia.

Ale mecenas nie pozwolił na tak pośpieszne działanie. Ten człowiek, natura niepospolita, wysoka i pod pewnym względem tak dumna, jak Stanisław—ten człowiek zrozumiał to drgnięcie serca w młodzieńcu i nie dotknął go domysłem, który mógłby być nasunąć się komu innemu, że Stanisław tak chętnie i lekkomyślnie śpieszy się po pieniądze, aby miał o czym grać dalej. Gracze dochodzą do takiego namiętnego obłędu, do takiego chciwego spodlenia, ale Stanisław nie liczył się jeszcze do nich. Czas jakiś po przybyciu do Warszawy trzymał się nawet dobrze; odszukał dawnych kolegów, trochę nawet wypowiadał im się z przeszłości i życie zaczął wieść wcale porządne, w czym ów mecenas, przyjaciel ojca, o którym można jeszcze było powiedzieć, że jest przyjacielem wszystkiej młodzieży, garnącej się do rzeczy ucziwych—dopomógł mu niemało. Odstąpił mu na początek sprawy, która dla swoich względów moralnych, mogła młodzieńca zająć, rozgrzać, zapalić do obranego zawodu, zrobić mu przytem zaraz na wstępie dobrą opinią u ludzi. Tak się też stało. Stanisław wypracował i wprowadził obronę świetnie, sprawę wygrał, a korzyścią było tu nietylko to, że go ludzie poznali zaraz ze strony, która mu ich jednała, ale że i on uczuł się na drodze dobrej pracy. W głębi duszy był trochę poetą, stawał się wymownym, gdy mu coś pierś podnosiło, a mogąc przy swoim położeniu majątkowym wybierać między sprawami, widział przed sobą zawód szlachetny, którego przecież nie myślał uczynić zawodem całego życia. Gdy zda i ojcu, i sobie dobry examen, że nie jest przecież wcale nic niewartym człowiekiem, mając z jakie trzydzieści parę lat, czyżby nie mógł wrócić do domu? Ojciec będzie już starszym, i stanie mu do pomocy, a potem—potem ożeni się.

Miał w życiu niejedną miłośćkę lekką, ale nie kochał nigdy prawdziwie, głęboko. Zachowywał sobie serce na czas powrotu do kraju, teraz powiedział sobie, że zachowa je do powrotu na wieś. Wiejska panna... kobieta podobna do jego matki... W samotnem swem eleganckim mieszkanku kawalerskim przy Placu Teatralnym, marzył niekiedy o tem. Jaką będzie? Czasem sam śmiał się z siebie, łapiąc się na wyborze koloru oczu tej przyszłej swej bogdanki.

Może byłoby tak poszło wszystko, jak roił, gdy by nie zbieg okoliczności—nieszczęśliwy, jak sobie mówił. Do Warszawy przyjechał pewien znajomy mu z czasów zagranicznej hulatyki panicz; spotkali się przypadkiem i ten człowiek, który był nietylko letkiewiczem, ale nie posiadał żadnego moralnego gruntu, wszył mu się w kołnierz jak zły duch.—Staś! kochany Staś!... stał się jego łupem. Pchnął go między różne znajomości swoje, pociągał na drogi, którymi sam chodził—pociągnął do kart, których Stanisław nie dotknął od przyjazdu do kraju. Raz wieczorem naszedł go z trójką takich, jak on sam niewartych synków obywatelskich, rozbijających się po bruku warszawskim. Stanisław miał nawet tego dnia bardzo pilną robotę: obronę sprawy ubogiej szlachcianki z jego stron, która mu ją oddawała, płacząc. Miała kilkoro dzieci i mająteczek maleńki; Stanisław chciał się tem zająć, jakgdyby to była jakaś rzecz rodzinna, sercu jego bliska; ale wałęsający się próżniacy naszli go, napadli i prawie z gwałtem do kart zasadzili.—Przyszliśmy do ciebie na partyjkę—zaczął wódz tego zgromadzenia.—Ułożyliśmy sobie, że będziemy w kolejkę bywać u siebie. Trzeba cię rozruszać i dlatego od ciebie robimy początek...

Stanisław nie miał zbyt wesołej miny, p. Ksawery to poznał i zapobiegł temu, aby Stanisław nie chciał się wymawiać.—Nie róbże się mólem, który tylko w papierach siedzi—zawołał. Czyż potrzebujesz być takim gryziopiórkem?...

— Mam rzeczywiście dziś trochę roboty... odparł Stanisław; ale kochany przyjaciel już go nie myślał wypuścić z rąk. Stolika do kart nie było w całym mieszkaniu. Pan Ksawery, który gospodarował, jak u siebie, śmiejąc się, wyciągnął z kancelaryi dependentów jakiś stoliczek, nakryty zielonym sukmem, i grano na nim do świtu. Stanisław, na nieszczęście, wygrał, i dość

dużo, musiał więc obiecać rewansz i musiał go potem dać.

Kiedy sprawa wdowy była wnoszona, Stanisław błady, jak cień i z oczyma podsiniawami, jakgdyby je ktoś popodbijał, pił w swoim gabinecie, w szlafroku, herbatę z cytryną. Skoro go opuściła hultajska trójka p. Ksawerego, rzucił ze siebie suknie i siadł pisać obronę. Ale uleciało już z myśli, to, co byłoby tu siłą skuteczną; głowa bolała go szalenie, cierpiał niewymownie nad złamaniem słowa danego sobie i ojcu, że nigdy kart do rąk nie weźmie. Dał je dobrowolnie, niewzywany oto przez nikogo, i teraz widział przed sobą smutną, surowo w niego wpatrzoną twarz człowieka, który nigdy nie skłamał, ani sobie, ani nikomu, i od którego syn, jak to czuł boleśnie, odrodził się. Sprawy sam wnieść nie mógł: wstydił się bladej swej twarzy i sinych oczu, których z pewnością nie mógł i choć latał to wymową, przegrał, a Stanisław nie mógł już potem złego naprawić, bo rzecz nie nadawała się do apellacyi. Zmartwił się też, zgryzł mocno, zwłaszcza, gdy popołudniu dnia tego spotkał się ze łzami swojej klientki.

Tak mu te łzy serce paliły, że poszedł szukać sam p. Ksawerego i jego współki. Chciał rozzerwać myśli i idąc mówił też sobie, że co dziś wygra, dla niej będzie. Ofiaruje jej to tytułem pożyczki, której zwrotu nigdy nie żąda, i ta myśl rozpogodziła mu trochę zasepione czoło. Wziął się do kart żywo i nawet chętnie. Chciał wygrać, powiedział sobie, że wygra z pewnością, i grał śmiało, hazardownie, ale fortuna, która widać nie opiekuje się płaczącymi wdowami, odwróciła się do niego tyłem. Dał rewansz rzeczywisty—przegrał niemal dwa razy tyle, ile wygrał wczoraj.

Rozdrażniło go to, a strona wygrywająca zapragnęła też dać odwet i Stanisław wpadł w pułapkę rozbudzonej nanowo namiętności. Dobre chęci, szlachetne zamiary frunęły gdzieś, odleciały daleko, jak ptaki spłoszone. Szło to tak od początków Stycznia do wiosny; w kołach znajomych Stanisława mówiono o tem; kolledzy usiłowali go odciągać od łotrzyków salonowych; on im przyrzekał, że to uczyni—wycofa się z tej bandy: ale, choć zamiar był szczery, nie wycyfywał się, aż też sprawa doszła do ojca, który napisał do przyjaciela zapytaniem: czy jest prawdziwa? Sam nie przyjeżdżał, bo był zbyt zgryziony i bał się sam siebie—bał się jakiego gwałtownego kroku, jakiej głośnie awantury z synem, albo z jego towarzyszem którym, spotkany przypadkowo; ale powoli, powoli, przetrwając w sobie uczucie boleści, doszedł do posępnych myśli: czy człowiek uczciwy, uczciwie pracujący całe życie, powinien oddać lichemu synowi zapracowane mienie, aby rozproszonem zostało w sposób nędzny, karygodny?

Czem dłużej myślał, tem silniej bolał, bo myśli, że przekazywanie owoców długiej pracy rozrutnikowi jest grzechem względem społeczności swojej, coraz silniej się w nim odzywała, wstępując z zarzutem, że postępek taki jest słabością, jest malduszmem, egoistycznym ukochaniem swojej krwi z krzywdą dla najświętszych obowiązków obywatela. W czyje ręce mogłyby kiedyś przejść Stara Wieś?—ten kawał ziemi ojczystej, użyźnionej jego znojem i na którym miał zakwitnąć w biegu lat kwiat jego marzeń i pragnień? Cały przykład dobry, który już zaczynał działać, wywrócony... wszystkie jego ideały, rzucione o ziemię!

Duch żony czasem przychodził do niego nocą, wstawiać się za synem.—Jeszcze jest młody, jeszcze się może poprawić, prosił żałośnie... Ale iluż-to zpomiedzy takich, jak on, poprawia się? Jeżeli jest tu jaka droga nawrócenia, to tylko droga biedy, droga pracy twardej, i dla tej nawet przyczyny

rodzice powinni wydrzeć sobie z serca wszelkie dla takich dzieci pobłażanie.

Całą noc jedne nie kładł się i rano wyprawiał na pocztę list do przyjaciela. Przez uczucie obywatelskiego obowiązku postanowił oddzielić życie swoje od życia syna. Jeszcze może czas jakiś pracować, ale nie chce pracować gorzej, niż na marne. Syn otrzymywał od niego tyle, że mógł spłacić wszystkie swoje długi, jakiego miał, i z pozostałą mu resztą kapitału, który zapewne będzie tworzyć sumkę jakich kilkunastu tysięcy złotych, zacząć nowe istnienie, jeżeli jest w nim jeszcze jaka iskra lepszego natchnienia, myśli uczciwszej.

Jeżeli zaś nie... to lepiej, że będzie miał mniej do stracenia i nieobciążony sumienia większym grzechem marnotrawcy grosza, którego nie zarobił.

Chciał się czynić Spartaninem pisząc to; przecież łza, duża, ciężka łza mężka, spadła na papier, którego jednak nie rozdarł.

Postanowienie było silne, umocował przyjaciela, aby je przeprowadził za niego, a od Stanisława żądał tylko, aby przyjechał do niego na wieś i własnymi swymi ustami powiedział mu, że przystaje chętnie i całkowicie na proponowany układ. Czy serce ojcowskie spodziewało się jeszcze czegoś? — nie przeprosin, bo nie był to gniew, namiętność porywczą, pod którą działał. Ale przychodziły mu do głowy, jakby sny jakiegoś, że Stanisław, pod silnym wstrząśnięciem serca, nagle zrzuci ze siebie starego człowieka, że mu powie: — Ojczel! daj siekierę i pozwól mi rąbać drwa w lesie! Może wyrobię się tak z długów i grzechów moich; i może kiedy wrócisz mi twój szacunek—darujesz mi...

Tak myślał i noc przed tym porankiem, w którym spodziewał się zobaczyć syna, przeszła mu prawie bezsennie. Gdy usłyszał trąbkę pocztioną, wyszedł na ganek silnie wzruszony, ale ochłodził natychmiast, skoro ujrzał wytworną karetkę. Stanisław, według jego przekonania, jechał za wygodnie na pokutnik; myślał, że wsiądzie w stankelerkę, jak on sam jeździł nieraz, aby nie robić zachodu z końmi, i powozem własnym i w miasteczku dopiero weźmie pocztę.—A... pomyślał—pocztowa bryczka zbyt trzęsąca jest dla panicza. Nie lubi siadać na słomie i derce, bo to za proste dla niego...

Jakób to przecież urządził tę podróż swemu panu, który przez trzy dni ostatnie prawie nic w ustach nie miał i był jak człowiek, ogłoszony od piorunu.—Weźmiemy, proszę pana, konie pocztowe, a o powóz to ja się już wystaram — powiedział Stanisławowi w przeddzień odjazdu, a on przystał na to, nie myśląc wcale, co to będzie i jak to będzie, tylko potem był starym wielce wdzięczny, że jechał sam—cicho, spokojnie.

Jechał i myślał... jechał, doświadczając czasem pragnienia, aby ta podróż nie skończyła się nigdy—aby jechać, jechać tak bez końca z oczyma przymkniętymi, z głową opartą o poduszkę. Nie zdrzemnął się ani na chwilę, a co przechodziło mu przez głowę—przez umysł i serce?

Gdy karetka zatrzymała się przed gankiem rodzinnego domu, który przecież przestał już być jego domem, doznał tak silnego ściśnięcia serca, jakiego nie doświadczył jeszcze nigdy. Ojca dostrzegł na ganku zaraz, skoro tylko przejechał bramę dziedzińca, ale widział go jak przez mgłę. Pan Andrzej, żywy zawsze i trochę impetyk, sam mu otworzył drzwiczki karety, zanim Jakób zdążył zsiąść z kozła, i syn spotkał się na wstępie z szyderczem spojrzaniem.—Dwornie jeździsz, pięknie jeździsz—rzekł—można powinszować... Nie wiedziałem, że trzymasz powóz...

Syn nie odpowiedział na to nic—nie zaprzeczył. Psy, dwa duże kundły podwórzowe, opadły go, skakały na niego, skomlały radośnie, a on je głaskał z niewypowiedzianą czułością.—Dobre psiska...pocziwe psiska...—mówił z goryczą, z żalem najwyższym. Między nim i ojcem stanął kamienny mur zranionego uczucia: kamienny mur dumy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZYCIE I PRACA.

przez

Samuela Smiles'a.

ROZDZIAŁ I.

Gmin i szlachetni.

Cokolwiek ześle Najwyższego Wola,
Zali to będzie szczęście, czy niedola,
Każdy na barki musi wziąć część swoją:
Nieść, choć na czołe krople znoju stoją...
Czy w walce przegrać ma kto, czy zwyciężyć,
Na plac wyjść musi i ramię wyteńczyć,
Pilnując przecież, do zamknięcia powiek,
By z niego zawsze był—szlachetny człowiek...
Thackeray.

Życie człowieka wśród świata jest po większej części życiem pracy. W zakresie zwyczajnego istnienia ludzi praca może być uważaną za warunek normalny: Każdy człowiek, godzien tej nazwy, powinien być do pracy chętnym i do pracy zdolnym. Uczciwy robotnik uważa pracę za rzecz konieczną, aby żył, jest ona przecież potrzebą ludziom wszelkich stanów i wszelkich położań towarzyskich.

Jak może ktoś jeden próżnować, gdy ogół ludzi jest czynnym, i utrzymać się przy honorze, szacunku społecznym, odpowiedzialności moralnej? Praca jest najlepiej kształcącym wychowawcą, ponieważ zmusza do zetknięcia się z ludźmi i z rzeczywistością życia taką, jaką jest ona naprawdę. Jeżeli będziemy rozpatrywali życiorysy, dojdziemy do przekonania, że najszlachetniejsi ludzie byli najusilniej pracowitymi w swoim zawodzie, najpilniejszymi w badaniach, najsmielej bohaterkami w przedsięwzięciach, i ztąd też ludzkość zawdzięcza pracy, tak ręką jak głową, inteligencją, naukę, postęp i całą cywilizację swoją.

Praca nadała wartość wszelkiej rzeczy drogocennej, bo nic nie może się dziać bez pracy. Wszyscy wielcy ludzie wynieśli się do godności swojej przez wytrwałe, pilne, cierpliwe przyłożenie się do pracy. Są genialności wrodzone; naturalnym ich przymiotem jest żywość i szybkość objęcia, ale i one nie mogą się wyłamać zpod karnego prawa nadanego ludzkości — prawa pracy. Praca przecież nie jest karą: praca jest nadzieją, jest rozkoszą. „Niema nic tak pracowitego, jak próżnowanie... powiedział S-ty Augustyn. Błogosławionym jest ten, kto się poświęca na pracę dla wielkich i szlachetnych celów; kto tworzy dobrze rozważone zamiary pracy z roztropną mądrością.“ Praca przecież znaczy może najwięcej w zakresie życia skromnym, i lenistwo może stracić majątek w dwa razy krótszym czasie, niż było potrzeba, aby go zrobić. — „Fortuna — powiada sanskryckie przysłowie—towarzyszy temu lwa z pomiędzy ludzi, który jest mocnym; tylko słabi ludzi widzi w przeznaczeniu przyczynę tego, co się dzieje.“

Pobłażanie lenistwu naszemu jest powodem połowy zmartwień życia a próżniactwo jest największym niebezpieczeństwem młodości. Mało próżnujących ludzi pojmuje to, że nic po nich światu. Ludzie leniwi, ludzie, którzy nie pracują, tracą zdolność używania uciech życia, które jest dla nich nieustannym świętowaniem, bo nie kosztują rozkoszy odpoczynku, przyjemności chwil swobodnych. Leniwiec, który się wygodnie wyciąga na łóżku, nie będzie nigdy niczem na świecie; wypadki przepływają koło niego, a on tymczasem drzemie. Robinson Crabb twierdzi, że lenistwo jest skrytem przyznaniem się do nieudolności.

Próżnowanie jest, według Jerzego Taylor, grzebaniem w grobie żywego człowieka. Próżniak, przez to już, że nie zda się na nic, ani Bogu, ani ludziom, jest jakoby trup; niczem są dla niego zmiany i wypadki dziejów świata: trwa pomiędzy ludźmi na to tylko, aby, jak wilk lub robak, zjadał owoce pracy drugich. Umra, gdy czas ich przyjdzie, i giną wtedy bez śladu, bo nie

orali ziemi, nie dźwigali ciężarów żadnych, nie robili nic dobrego, i jeżeli nie byli złymi, byli w każdym razie nieużytecznymi, nie przydatnymi na nic komu.

Próżniactwo jest największą w świecie rozrzutnością. Grecy kładli wielki nacisk na pracę ze względów społecznych; Solon powiedział: „Tego, który nic nie robi, powinno się oddawać pod sąd.“ Inny Grek mawiał: „Kto nic nie robi, kradnie.“ Praca jest najpewniejszym środkiem przeciw zbrodni; stare przysłowie nie myli się, twierdząc, że „próżniak modli się do dyabła“, bo nic nie robiąc, uczy się złego. Człowiek, który, nic nie robiąc, czuje lenistwo swoje, jest godniejszym politowania, niż kary, bo nic nie może być straszliwszego, nad świadome siebie uczucie nieużyteczności. Pobłażanie próżniactwu swemu podkopuje w nas fundamenta moralności, marnuje siłę lat męzkich i płodzi niezadowolone, które trwać musi aż do śmierci.

Ci, którzy znają złe i dobre, widzą, że szatan udaje nieraz anioła i przybiera jego postać; grzech, aby kusił lepiej, okrywa się pozorem przyjemności. Tureckie przysłowie mówi: „Szatan kusi próżniaka, ale próżniak kusi też szatana.“ Kto ubiega się tylko za rozkoszą, ten wkrótce uczuje w życiu taką gorycz, której nic nie osłodzi, a nieodstępny już smutek będzie dlań marą dawnego wesela.

Arystoteles dowodzi, że szczęście jest pewnego gatunku energią; obserwacje nad codziennym życiem wykazują, że szczęście, tak jak zdrowie, nie godzi się z próżniactwem—nie może się pogodzić z lekkomyślnym życiem elegancyi i mody, z cackami, bawiąciami nas godzinę. Ludziom dana jest przecież nieskończona możność wytworzenia sobie szczęścia i zapewnienia go. Czas jest nam danym to. Chwytaj każdą jego chwilę, każdą zużytkuj i upłodnij: a zobaczysz jak świetne będą tego wyniki. Coby to można zrobić, co zarobić, używając na korzyść skarbów życia tych tylko chwil lenistwa, które nam ciężają! Trzeba przecież chwycać w lot minuty, bo uciekają—trzeba je chwycać i przymuszać, aby oddały nam, zanim pierzechną nazawsze, bogactwo, które się w nich kryje. W młodości godziny są złote, w wieku dojrzałym srebrne, w starości—żelazne! Kto w dwudziestym roku nic nie wie, w trzydziestym nic nie robi, w czterdziestym nic nie ma!

Przysłowie włoskie dobrze się z tem łączy, dodając:—„Kto nic nie wie, wszystkiemu ufa...“

Ruskin twierdzi, że ludzkość składa się z trzech chorów istot. Najniższe, nikczemne są i samolubne, nic nie czują, nic nie widzą poza sobą; rząd drugi szlachetny jest i sympatyzujący z dobrem i pięknem, ale widzi i czuje, nic nie czyniąc, nic nie konkludując. Trzeci dopiero, najwyższy, wciela się myślą, uczuciem i pracą w to, co uznaje za dostojne i wdzięczne. Szybkość decyzji i punktualność—niepuszczanie w odwłokę tego, co przynosi nam bieżąca chwila czasu, jest błogosławieństwem życia i jego dobrobytem; przez brak tych przymiotów przepadł też niejedna wielki człowiek. Curran rzekł raz do Grattana: „Byłbyś największym człowiekiem na świecie, gdybyś kupił sobie kilka łokci czerwonej tasiemki i wiązał zawsze twoje papiery i rachunki.“ Cavour dlatego, że był punktualnym, jak słońce, dokonał wielkich rzeczy i bez czerwonej tasiemki; nie dopuszczał nigdy i w niczem nieładu.

W najprostszycy sprawach życia, przy robocie i zabawie, w domu i poza domem, trzeba nam liczyć się z czasem i znać jego cenę: być punktualnymi tak w stosunkach z innymi, jak i względem samego siebie. Kto tego nie potrafi, będzie żył w stanie wiecznego znużenia, niepokoju, wiecznego zakłopotania. Punktualność nazywają grzeckością królów: jest ona grzeckością i pospolitych ludzi. Raz Jerzy III (angielski) wyznaczył któremuś ze swoich panów dworskich godzinę posłuchania, a ten, gdy się spóźniwszy nieco, usłyszał od króla wymówkę, chcąc nadrobić śmiałością, rzekł: „Lepiej później, niż nigdy.“ Lecz król potrząsnął głową: — „Nie... lepiej nigdy, niż późno.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 29 Grudnia 1887 r.

Zamknięcie posiedzeń Senatu i Izby Poselskiej. — Bilans czynności. — Historia zamachu na życie Ferry'ego. — Polityczny horoskop przyszłego, 1888 r. — Śmierć milionowej mieszczki p. Boucicaut i jej legata. — Świętny pogrzeb poczciwej kobiety. — Druga dobrodziejka biednych, pani Chardon-Lagache; jej śmierć i testament. — Wiadomości brukowe — Święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku, jak się obchodzą w Paryżu. — Jubileusz papieżki, podarunki, dar misy duchownej. — Śmierć malarza F. Bonvin'a. — Odślonienie pomnika na grobie Edm. Abou'a. — Wesołe urwyki. — Kongres niewieści „Towarzystwa polepszenia męczyzn“. — Wesele syna panny Sary Bernhardt.

Finita la Comedia! 17 Grudnia posiedzenia obu Izb francuzkich zostały zamknięte. Chwała Bogu! powiada ogół zmęczony tą sztuczną agitacją politykujących sowizdrzałów. Co będzie? nikt tego nie zgadnie; ale nie dobrze tu pachnie! Rzecz pewna.

Zaledwie zwolane Izby, bo niespełna siedm tygodni zasiadały na ławach, a już rozpuszczono je do domów. Siedm tygodni, bez mała dwa miesiące, a nawarzyli piwa za dziesiątki lat spokojnych. Nagadali się do woli, dosyta, a wszystko puste słowa; nie postanowili nic a nic, ani dobrego, ani stałego, nie rozpatrzyli żadnego prawa, nawet budżetu nie tknęli. Ale za to wyrócili ministerium, któremu w gruncie nie mogli nic zarzucić, chyba to jedno, że to ministerium nie wsadziło do kozy byłego prezydenta i jego godnego zięcia. To też, wywracając gabinet, za jednym zamachem wyrzucili z Elizeum i Prezydenta Rzeczypospolitej. Na miejsce jego wybrali nowego. Wybrali go przypadkiem, na złość Ferry'emu; dodajmy do tego zgniecenie zięcia Grévy'ego; zamach niby na życie byłego ministra i przeróżne niekonsekwencje, waryacje: to wyraźne osłabienie mózgu. I tyle!

A ta historia Ferry'ego! To ciekawa kartka, kto ją umie czytać w texcie i pomiędzy liniami. Ferry, na imię mu Juliusz. Jeśli kto z was przypomina sobie, była to jedna z owych kilkudziesięciu oczajdusz, które z dziurawą kieszenią i z piórem w ręku, szły wówczas tem odważnie do szturm Cesarstwa, że to zdawało się samo przedstawiać drabiny do szaniec.

Ferry, jeden z najczynniejszych członków wolno-mularstwa, piskorz, którego żadna ręka utrzymać nie mogła, był zawsze w przedniej straży. Pamiętny jest jego pamflet przeciw administracyi miejskiej, a raczej przeciw jej głowie, baronowi Hausmanowi, pod tytułem: *Les Comptes fantastiques de Hoffmann* — z tą grą, na słówku *Les Contes*, powieści, i *Les Comptes*, rachunki, co się jednakowo wymawia.

Wycudzony w owej-to szkole Cesarstwa, jaką drogą się idzie do obalenia rządu, Ferry, doszedłszy do najwyższych godności, bo do prezydyum gabinetu, spadł nagle z tej wysokości, a świadomi rzeczy powiadają, że spadł popchnięty, czy opuszczony umyślnie przez Grévy'ego. Skoro tylko grunt zachwiał się pod nogami b. prezydenta, ku czemu w cieniu i tajemnicy przyczynił się dawny minister, odplacił mu Ferry wzajemnością, i na czele oportunistów, to jest lewicy i centrum republikańskiego, usunął mu zpod nóg ostatnią deskę i dla siebie wybór zapewnił. Stało się przecież inaczej, pod naciskiem w ostatniej chwili skrajnych i dezorganizujących elementów: Carnot, o którym nikt nie myślał — nagle, dzięki porozumieniu się wszystkich stronnictw republikańskich, ostatecznie go od prezydentury odechnął.

Czem kto wojuje, od tego ginie.

Ferry nie pierwszy jest i nie ostatni człowiek, któremu do wyniesienia się wszelkie środki są możliwe i godziwe; posługiwał się on temi skrajnemi, najskrajniejszymi żywiołami i prasą, dziś i zawsze wszechmocną, aby tworzyć zle i macie wodę, ale niezdolną zbudować i wznieść coś stałego, bo zasada jej jest kłamstwem. Surowa prawda życia, nietylko że mu zagroziła drogę

do pożądaney przezeń prezydentury, ale nadto jeszcze uzbroiła rękę biednego szalonego człowieka, który jakoby nastawał na jego życie; dziś ten nieszczęsny Aubertin, zupełny waryat, dogorywa w szpitalu.

Takie zakończenie jest zupełnie odpowiednie temu dramatycznemu usposobieniu, które ogarnia dziś społeczność naszej starej Europy. Gdzie spojrzysz, to już nie owe legendarne czarne punkciki, ale całe massy potężnych i ciemnych chmur zalegają horyzont dokoła. Tutaj, jakby w niedawno zagasłym kraterze wulkanu, kipi i burzy się silniej i widoczniej, niż gdzieindziej: taki to już temperament tych ludzi. Nowy prezydent, po wielu a wielu trudnościach, postawił na nogi nowe ministerium, ale, niestety, te nogi są z gliny! i po powrocie w Styczeniu Izby rozbiją je i zwalą, i tak od gabinetu do gabinetu, przyjdzie do tego, jak mówił Gambetta, że trzeba będzie: *Se soumettre, ou se démettre*, a że nikt nie wie, komu tu i czemu trzeba się poddać? więc trzeba będzie rozwiązać Izby, albo złożyć prezydenturę. Taki to horoskop układają już dzisiaj, na przyszły 1888 rok, tutejsi politycy.

Ale zastawmy na stronie politykę: są ludzie, którzy się nią zajmują *ex officio* z urzędu, inni znowu z powodania, inni dlatego, że do niczego niezdatni, chyba do polityki. Zwróćmy się w inną stronę nie weselszą, ale spokojniejszą, bardziej pocieszającą, niż te szalone wybryki ludzi opętanych; pozwól ona nam wierzyć w coś lepszego nakoniec, niż te polityczne matactwa.

Paryż, to okrzyczana Babylonia nowożytnego świata, Paryż był, jest i będzie zawsze miejscem niesłychanych i najdziwniejszych sprzeczności. Czego tu nie znajdziesz i czego tu niema? tego nie wypowie i sam mądry Salomon! Zdaje się czasem, że to najbrudniejszy ściek świata, prawdziwe piekło na ziemi, a jeszcze nie potrafił skonkludować swojego sądu, aż oto jesteś jak w raj u świętym i aniołami!

I tak, kiedy na polu politycznych przewrotów widzimy zapamiętałość stronnictw, gotowych iść na noże; kiedy rozkielznanie umysłów dochodzi do podszezuwań tak ostatecznych, iż uzbraja nawet rękę szalonego i popycha go do spełnienia bezecnej zbrodni, a w obeldze nie zna ni miary, ni końca tak, iż przed nią żaden wzgląd, żadna sytuacja zasłonić się nie może; kiedy w sprawie sławnego zięcia przyszło do tego, że sąd puszcza oskarżonego, *quasi jure victum*, bezkarnie, bo prawo, jakoby powiada, że karani będą ci, co wykradną jakieś dokumenta, lub akta, a oni wykradli tylko listy — w tej Babylonii, gdzie żąda bogactwa i użycia prowadzi tysiące tysięcy do ostatniego spodenia, do zbrodni — oto widzimy kobietę, mieszczańkę, której osobistość wczoraj jeszcze zaledwie komu była znana, w tym wielkim Paryżu, schodzącą do grobu, a za jej trumną idzie taki tłum ludu, nie tych oficjalnych skoczków, których tu nigdy nie braknie, ale tłum męczyzn i kobiet, skromnych, poważnych, prawdziwy lud, w prawdziwym i całym jego znaczeniu. Idzie, nie setkami, ale tysiącami setek, ciśnący się, zawalający bulwary i szerokie ulice, płaczący prawdziwemi łzami, nie wymuszonymi, nie zakupionemi naprzód. I patrząc na ten kondukt, posuwający się zwolna i literalnie zawalony kwieciami i wieńcami, patrząc na ten otwarty kościół Ś-go Tomasza z Akwinu, do którego słała tylko cząstka tego narodowego, wielkiego prawdziwie tłumy wejść może, pyta się zaskoczony przechodzień: I kogoż to chowają? ci niewierni Paryżanie, ci ludzie, jakoby bez czci i bez wiary?

Nie jest to przecież jeden z tych oficjalnych pogrzebów, jakieśmy tu już widzieli nie raz i nie dwa, które przy wielkiej swej pompie, przypominają niestety! owe widowiska teatralne, pogańskie, gdzie każda osobistość, zapomocą trupa nieboszczyka, odegrywając pewną wybitną rolę w orszaku, stara się pokazać siebie, przytomnym... Nie jest to pogrzeb takiego Thiersa, Gambetty, Wiktora Hugo: niema tu chorągwi, niema tu owych rozmaitych zagadkowych wolnomularskich emblematów i innych; niema złocistych wozów i kapiących od złota, dzisiejszych błą-

znów i rzezimieszków, przedzierzgniętych w cudze skradzione szaty...

Nie, ale, jak mówiłem, jest to niezmierny, więcej, niż stutysięczny tłum ludzi, patrzący spokojnie i z szacunkiem na ten, więcej, niż dwudziestotysięczny, orszak, który prowadzi do mogiły umarłą, tworząc jedną wielką rodzinę, w głębokim pogrążoną żalu! W tej oto trumnie leżą zwłoki ich dobroczynnej macierzy, a ich żal powszechny zapowiada światu, że tylko drogą cnoty, poczciwości i czystego pracowitego żywota, dochodzi się na ziemi do takich nieudanych, nieprzymuszonych, nienakazanych nikomu i niczem zaszczytów.

Kogoż to chowają? kogoż to oplakuje ten Paryż, ta Babylonia? Czyjeż to zwłoki spoczywają w tej trumnie? — tak, że tu można sprawiedliwie powtórzyć słowa Trembeckiego: „Leją się łez potoki, czerni się stolica!“ Otóż ta zmarła, którą prowadzą do grobu, jest to jedna z wielkich i skromnych pracownic Paryża i Francji; to jedna z niezmordowanych pszczołek tego wielkiego ula, to skromna i prosta mieszcza, która pracą, wytrwaniem, zdolnością i rozumem z najniższego szczebla, prostego subiekta bławatnego sklepu, przyszła do ogromnej milionowej fortuny! To właścicielka i pani jednego z najpierwszych i największych magazynów Paryża, to pani Boucicaut! Umierając bezdzietnie, cały swój majątek, olbrzymi zakład, kapitały, przekazała testamentem współpracownikom swoim, zakładom dobroczynnym i biednym!

(Dokończenie nastąpi).

RUCH MUZYCZNY

Nasze instytucje muzykalne, pragnąc, aby Nowy Rok zastał je w należytych porządku co do przyjętych zobowiązań, w pośpiechu uczciwych dłużników uregulowały swe rachunki. Przedewszystkiem zatem konserwatorium warszawskie dało seryą wieczorów muzyki kameralnej, w których przyjmowali udział professorowie wraz ze swym dyrektorem na czele. Wybór dzieł, jako też i wykonanie ich, były godne instytucji, która ma stać na straży prawdziwego wykształcenia smaku i zamiłowania w muzyce. Zestawienie kwartetów smyczkowych, Haydn'a, Mozarta i Beethovena, wzorowo wykonanych przez panów: Barcewicza, Stillera, Szulca i Aloiza, dało możność słuchaczom zastanowienia się nad rozwojem tej formy i typem twórczości, każdego z tych trzech mistrzów z osobna. Jeżeli nadal zdoła się utrzymać w niezmiennym składzie świeżo zorganizowany personel wykonawczy wyżej wymieniony, wtedy możemy śmiało powiedzieć, że ziściło się dawno pieszczone nasze marzenie, abyśmy posiadali w Warszawie taki kwartet, jakich wiele istnieje już oddawna we Włoszech i w Niemczech. Kwartet fortepianowy Saint-Saëns'a, oraz dwa tria: Schubert'a i Schumann'a, miały za głównych interpretatorów panów: Zarzyckiego, Schlözera i Strobla. Z sonat wykonano: Grieg'a, wiolonczelową i drugą skrzypcową, Beethovena zaś sławną kreuzerowską. W pierwszej sonacie, Grieg'a, przyjął udział dyrektor Zarzycki i niedawno osiadły w Warszawie wiolonczelista p. Aloiz, którego gra spokojna i śpiewna, chociaż nieposiadająca wielkiego tonu, robi nader miłe wrażenie na słuchaczach; w dwóch następnych kompozycjach zbierał gorące oklaski Barcewicz z p.p. Schlözera i Strobla.

Dyrekcya Teatrów wystąpiła z pięknym koncertem symfonicznym, w którym tryumfował również Barcewicz, olśniewając nieporównaną techniką, głębokością uczucia i tym potężnym tonem, który bez szarży, bez sztucznych wysiłków, porrywa słuchacza, jak wyraz wypowiedziany z duszy namiętej w chwili natchnienia. Dlatego, choć podziwialiśmy i podziwiamy grę wielu znakomych wirtuozów, po każdym występie nasze-

go skrzypka zawołać nam trzeba: niema, jak Barcewicz. Tym razem dane nam było słyszeć koncert D moll Wieniawskiego, „Serenadę“ Czajkowskiego, i nad programat dwa razy z rzędu „Motto perpetuo“ Riesa. O sile wrażenia, jakie otrzymaliśmy dzięki Barcewiczowi, świadczy i to, żeśmy najpierw o nim wspomnieli, nie bacząc na porządek programatu, którego pierwszym numerem była uwertura „Michał Anioł“ Gade'go. Jeśli podobne tytuły mają jakoweś znaczenie w dziełach muzycznych, to z powyższego należałoby wnosić, iż kompozytor chciał przedstawić burzliwą, pełną nieokiełzanych wybuchów, namiętą, tytaniczną naturę artysty; lecz właśnie pomimo instrumentacji pięknej, pomimo wybornej opracowania i szlachetności fraz muzycznych, charakterystyczna strona dzieła jest mało mówiąca i niczem tytułu nie tłumaczy.

Wstęp do „Parcifal'a“ Wagnera miejscami przemawia prawdziwą poezją, słucha się też z początku z pewnem namaszczeniem, później trochę z pragnieniem jakowejś zmiany, świeżości, a później jeszcze z cierpliwością — z cierpliwością, *usque ad finem*. Drugą część koncertu, zajęła symfonia „A moll“ Rubinsteina, mniej starannie odegrana, niż poprzednie orkiestralne rzeczy. Jako kompozytorka nie dorównywa innym dziełom Rubinsteina; tylko w pierwszej części energiczny świeży temat, w obrobieniu doskonałym, jest, rzecz można, ową jasną nicią, której przewijania się i skręty z zajęciem można śledzić. Andante młde robi wrażenie; po mało ożywionym scherzo przychodzi finał o temacie chłodnym, rozwianym w jakieś recitativa; jako niespodzianka, niewiadomo poco wprowadzona, skoczna nuta ludowego motywu urywa się również nagle; przytem wszyskim tempa za powolne czynią całość dosyć monotonna.

Towarzystwo Muzyczne dało swym członkom dawno niebywały wielki koncert, ze współudziałem Filipa Scharwenki, jego żony, z domu Stresow, panny Ely Russel, i Alexandra Michałowskiego. Takie znakomite siły, zebrane na jednej estradzie, musiały wytworzyć bardzo interesujące przedstawienie: to też do końca koncertu nie słabła uwaga i zadowolenie słuchaczy. Koncert rozpoczął się Suitą Arkadyjską. Sielanka, przedstawiona w czterech fazach, odpowiednich formie symfonicznej, zakończyła się, jak łatwo się domyślić, „Pochodem narzeczonych i uroczystością weselną.“ Autor, nie życząc sobie, widocznie, wprowadzać zbyt wielu czynników do swego dzieła, dość starannie unikał polifonii i zwrotów zawilych, to też rozgrywa się tam wszystko naturalnie, naiwnie, popastersku, pomysły proste, których rozwinięcie prawie każdy sobie w duszy dośpiewa, czynią, że to dzieło wita się jak dobrą miłą znajomością. Instrumentacja powściągliwa, często nawet zabojaźliwa, może także z umysłu dla scharakteryzowania sielanki w tym rodzaju trzymana, prawdziwie przeniosła nas w minione lata młodości i zachwyty nad grą na fujarce i śpiewem słowika. Autor sam kierował orkiestrą; a raczej, orkiestra kierowała autorem, co, naturalnie, trzeba jej poczytać za wielką zasługę, dowodem to bowiem takiego wniknięcia w intencje kompozytora, że on sam mógł już zachować się całkiem biernie. Nie jest to wprawdzie we zwyczaj u takich surowych dyrygentów, jak Rzebiczek lub Noskowski, lecz może to

miało znaczyć, że sielanka obejdzie się bez dyrektora.

Pani Marya Stresow Scharwenka jest to artystka skończona i wiolinistka niepospolita. W grze jej widać trafne pojęcie dzieła, spokój i pewność siebie, oraz temperament nawskroś artystyczny. Nic więc dziwnego, jeśli przy takich zasobach wykonanie koncertu Medelssohna, „Legendy“ Wieniawskiego, i Poloneza koncertowego Scharwenki musiało być ze wszechmiar udatnem.

Pozostaje nam jeszcze wypowiedzieć nasze zawsze trwałe uwielbienie dla gry Michałowskiego. Tym razem podziwialiśmy w jego interpretacji piękny koncert Schumanna. Jest to dzieło, na którym wiele już potęg fortepianowych zachwiało renomę swoją: tak trudno jest utrzymać się w równowadze, w tej fantastycznej kaskadzie tonów ujętych w dziwaczne rytmy i niespodziewane zwroty; artysta mimowoli może być uniesionym w wir splątanych chaotycznie myśli, gdzie już świadomości swego indywidualizmu nie odnajdzie. Michałowski szczęśliwie uniknął tego; chłodne panowanie nad sobą prowadziło go spokojnie do spełnienia trudnego zadania: rozwikłania pojedynczych myśli i uwytatnienia głównych okresów tej oryginalnej kompozycji. Orkiestra, pod wodzą p. Noskowskiego, towarzyszyła koncertantowi.

Czwarty koncert stowarzyszenia śpiewackiego „Lutnia“ odbył się temi czasy w Salach „Redutowych. Lutniści, jak karne wojsko, stawili się w pełnym rynsztunku pod wodzą dzielnego swego dowódcy. Prawdziwa to przyjemność spojrzeć na ten las postaci baczących na każde skinienie pałeczki i na jej rozkaz budzących burzę tonów, lub szmer oddalony. Tym razem mieli oni do walczenia z nieprzewidzianym nieprzyjacielem, który chciał zniszczyć ich usiłowania i stłumić dźwięczne tony śpiewu; tym nieprzyjacielem jest niedostateczna akustyka Sal Redutowych, utrudniająca zestawienie się śpiewaków ze sobą i z akkompaniem fortepianu, to też nie winimy ich, jeśli w polonezie Moniuszki niezgodność ta się uwytatniła. Wśród wielu pięknych kompozycji, które obficie zasiliły programat, wyróżnimy szczególnie, najlepiej zaśpiewaną „Naszę Hanę“ Żeleńskiego, i sympatyczny kwartet Sullivana „Już dzień skończony.“ Na zakończenie Lutniści wykonali szereg kolend w układzie cztero-głosowym Piotra Masyńskiego, który nietylko, że poświęca swą pracę kierownictwu nauką, lecz również zasila ubogą naszą literaturę chórów męzkich, prawdziwymi perełkami odkrytymi wśród ludowych melodii.

Przed kilku tygodniami została wznowiona na naszej scenie, dawno nie przedstawiona opera Meyerbeera „Dinorah“ inaczej „Pardon de Ploermel.“ W tej sympatycznej muzyce jest pełno lekkości i wdzięku, i gdyby nie nedoręczne libretto, które swą treścią nie mogło podtrzymać w równej mierze twórczości autora, całość niezawodnie miałaby zupełnie inny zakrój, a tak, wytworzyły się pewne nieproporcjonalności w układzie scen i przewadze jednych czynników nad drugimi. Partya Dinory, prawie popisowa, absorbuje całą uwagę, gdy inne postacie, pozostawione na zanadto oddalonym planie i pobieżnie

tylko nakreślone, bardzo mało dodają odrębnego żywiołu. Weźmy, na przykład, Korentyna, zadaniem jego było, wprowadzenie czynnika humorystycznego, lecz postać ta, jest tak nie znacząca, że możnaby się zapytać poco ona tam się znajduje; a strzelec, kosiarz, pasterki, te marionetki, które dla wykonania kwartetu „Ojciec nasz“ zostały postawione na scenę i natychmiast giną bezpowrotnie, nie śmieszneż to postacie? Ztąd to więc pochodzi, że operze tej brak kształtu, brak całości, że, wysłuchawszy w sali koncertowej kilku piękniejszych ustępów muzycznych, można mieć wyobrażenie o całej operze, nie potrzebując jej widzieć na scenie.

W dziennikach wiedeńskich czytaliśmy w tych dniach sprawozdania z koncertu naszego ziomka p. Józefa Sliwińskiego, syna zasłużonego profesora konserwatorium warszawskiego. Młody Sliwiński, ukończywszy przed paru laty tutejsze konserwatorium, wyjechał do Wiednia, aby powierzyć się opiece znakomitego pedagoga fortepianisty, Leszetyckiego. Obecnie uzupełniwszy swe studia, a zachęcony przez swego nauczyciela, p. Sliwiński wystąpił z własnym koncertem. I stała się rzecz niezwykła: oto prasa wiedeńska zwykle tak skąpa w pochwały, szczególnie dla cudzoziemców, okrzyknęła go wirtuczem pierwszej wody, artystą skończonym, znakomitym wykonawcą dzieł Szopena. Wiadomość ta niezmiernie nas ucieszyła; nie wąpimy, że zazwyczaj surowa krytyka wiedeńska, tym razem również tylko sprawiedliwą była, co zresztą wkrótce sami będziemy w możności to sprawdzić, albowiem p. Sliwiński zjeżdża do Warszawy i w połowie Stycznia ma zamiar obdarzyć nas koncertem.

Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa wyszło dziełko teoretyczne p. n. „Katechizm muzyki“ J. C. Lobe'go, w przekładzie Jana Kleczyńskiego. Dziełko to, przeznaczone dla niewtajemniczonych w zasady sztuki muzycznej, daje im encyklopedyczną, dorywczą wiadomość o niej, oile, naturalnie, bez nauczyciela i w tak treściwej formie jest to możliwem. Rozpoczynając od wiadomości wstępnych i przeszedłszy zasady czytania nut, harmonią, kontrapunkt, kompozycją, na 130-tej stroniczce autor kończy swe dzieło, na ostatnim dziale nauki muzycznej, to jest, instrumentacji — trzeba przyznać, że przedzej chyba nie można, Nie wąpimy, że dziełko to w krótkim czasie przysporzy nam bardzo wielu pseudo-muzyków, rozprawiających z niezachwianą powagą i pewnością o sztuce.

Juljusz Stattler.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 8-my i 9-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez M. Crawford.

TREŚĆ: Jubileusz kapłański Leona XIII, przez M. Ilnicką — Do matki, poezja Heinego, przekład Ad. Mielezki-Maliskiewicz. — Adolf Pawiński, życiorys, (dokończenie), przez S. K. — Na starym gruncie. powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza. — Życie i praca, przez Samuela Smilesa. — **Nowiny paryżkie.** — **Ruch muzyczny,** przez Jul. Stattlera.

Dodatek obejmuje: Arkusz 8-my i 9-ty powieści pod tytułem: *Książę Saracinesca*, przez Maryana Crawford. — 30 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozytęją stołu.**

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgera i Spół., kwartal. 5 marek

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 30 Декабря 1887 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg